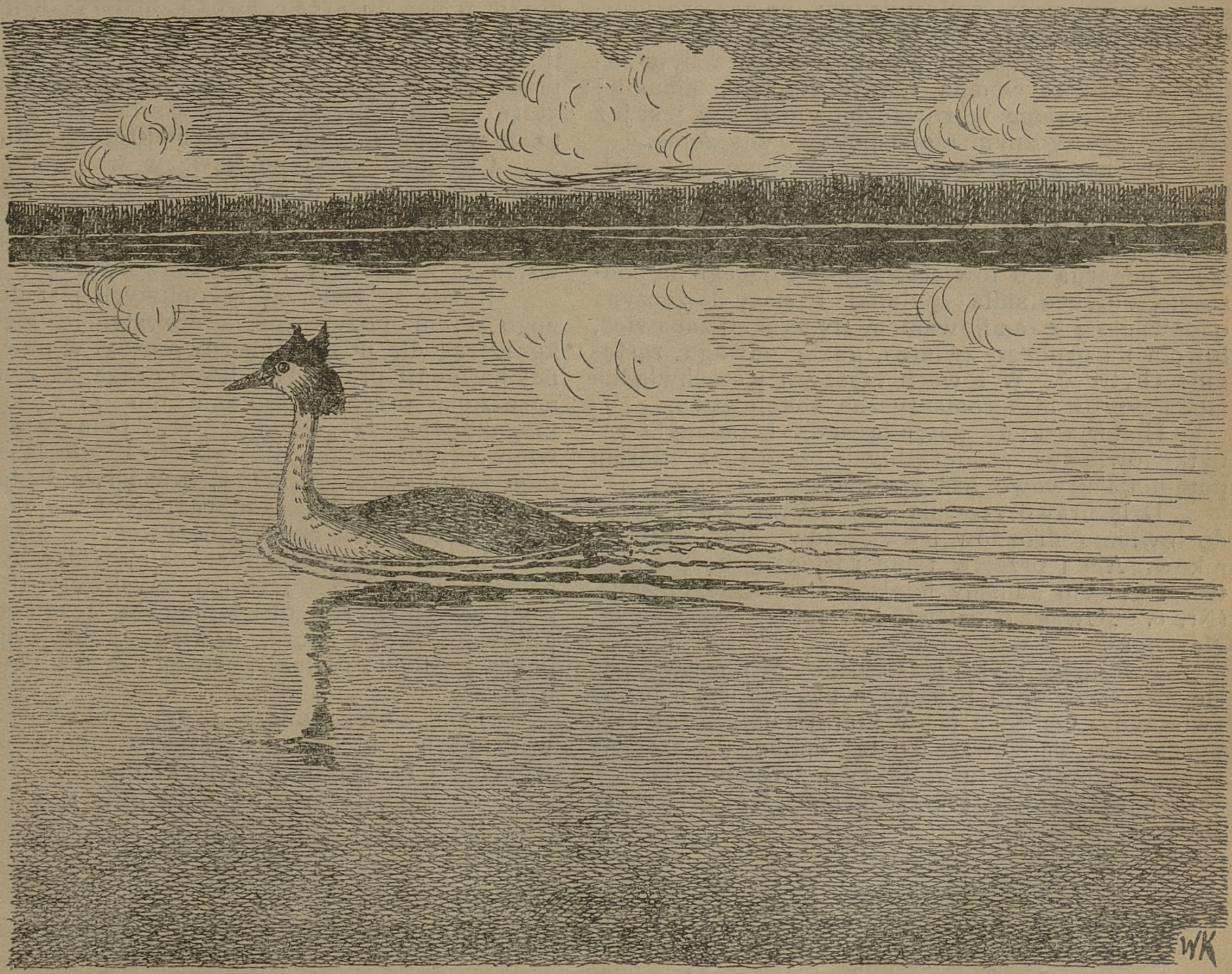
1923 r. LIPIEC № 13.

PRZEGLĄD MYŚLIWSKI I ŁOWIECTWO POLSKIE

ZJEDNOCZONY DWUTYGODNIK ŁOWIECKI

WARSZAWA — POZNAŃ.



WIELKA ROCZNICA MYŚLISTWA POLSKIEGO.

1423 — 1923.

PIĘĆSETLECIE RACJONALNEGO ŁOWIECTWA.

W roku obecnym mija 500 lat od chwili, gdy Władysław Jagiełło w r. 1423 dozwolił każdemu polować na własnym gruncie, wprowadzając jednocześnie termin ochronny „ne proles intereat".

Obchodzimy zatem podwójną epokową rocznicę łowiectwa polskiego: łowy stały się powszechną własnością szlachty, a równocześnie została wprowadzona ochrona zwierzyny, jako prawo wszystkich obowiązujące.

Dawna opieka książęca i królewska nad grubym zwierzem i bobrem miała na celu zarezerwowanie łowów na tę zwierzynę dla władzy i jego dostojników. Z ochroną zwierzyny nie miała nic wspólnego, nosząc nierzadko charakter masowych rzezi.

Prawo z roku 1423 jest nieśmiałym pierwszym promykiem, zwiastującym nową erę myślistwa polskiego, erę racjonalnego polowania.

A choć, jak mówi historyk, „prawa były daleko, a puszcza ciemna i niedostępna", niemniej jednak usiłowanie wprowadzenia ochrony jest już faktem historycznym niepospolitego znaczenia.

Dopuszczenie ogółu szlacheckiego do „wielkich łowów", spowodowało istną rewolucję w etyce łowieckiej, która zawsze była w Polsce gwiazdą przewodnią myślistwa. Szlachta odwraca się z pogardą od łowiectwa, polegającego na podstępie, odrzuca sidła, pułapki i sieci i zaczyna oddawać się z zamiłowaniem „rycerskiej zabawie", łowom na grubego zwierza, gdzie odwaga zastępuje chytrość. W łowach ptaszych wszechwładna moda wprowadza romantyczne sokolnictwo.

Historja, która potępiła sidła i pułapki, zabytki łowiectwa zamierzchłych czasów, z czasem potępiła i krwawe harce sokole.

Dziś prawo zezwala na użycie sideł tylko do łowienia drozdów i kwiczołów, oraz drapieżników. Ale i przeciw temu rozlegają się już protesty, którym daliśmy miejsce i w naszem piśmie (Nr. 6. „Uwagi o ustawie łowieckiej" — Jana hr. Morstina).

Ewolucja etyki myśliwskiej widoczną staje się zwłaszcza, jeśli badamy u nas historję ochrony zwierzyny. Ochrona ta, w której dziejach rok 1423 pozostanie na zawsze datą epokową, zaczyna istotnie „chronić" tury, żubry i żeremia bobrowe, zataczając coraz to szersze kręgi wśród zwierzyny łownej.

Król prawdziwą opieką zaczyna otaczać monarsze łowiska. Możnowładcy zakładają wspaniałe i wzorowo urządzone zwierzyńce, których rola w ochronie naszej zwierzyny jest w Polsce olbrzymia.

A że historja wyrzekła wyrok śmierci nad turem, dzikim koniem, sumakiem, a częściowo nad żubrem, rosomakiem, bobrem i sobolem, złożyły się na to tysiące przyczyn, których niesposób w tem pobieżnem studjum rozpatrzeć, a śród których zmiany klimatyczne niepoślednią odegrały rolę.

Dziś, w pięćset lat po rozpoczęciu racjonalnej gospodarki myśliwskiej w Polsce, gdy zostały otoczone opieką wszystkie zwierzęta pożyteczne, zastanowić się wypada, czy ochrona zwierzyny doszła u nas do kresu swego historycznego rozwoju w obejmowaniu coraz to większej ilości gatunków zwierzyny łownej. Odpowiedź musi być przecząca. Prawo wylicza cały szereg szkodników, które zaleca tępić zawsze i wszędzie. Prowadzi to do wytępienia całkowitego niektórych gatunków.

Czy takie wytępienie leży w interesie łowiectwa? Znów odpowiedź musi być przecząca. Etyka myśliwska i w tym kierunku ulega w ostatnim czasie pewnej ewolucji. Miejmy nadzieję, że wślad za nią podąży i prawodawstwo.

Każde ze zwierząt szkodliwych jest do pewnego stopnia pożyteczne, a egzystencja jego jest konieczną dla utrzymania równowagi w powszechnej harmonji przyrody. Równowaga ta zostałaby naruszoną przez wytępienie doszczętne jakiegokolwiek ze „szkodników". Jedne z nich bowiem są pożyteczne dla rolnictwa lub leśnictwa, inne zaś przynoszą korzyść łowiectwu, będąc jako drapieżniki, „policją sanitarną lasów",—jak je zaczęto w ostatnich czasach nazywać.

Dalszy etap etyki łowieckiej widzę w racjonalnej i zgodnej z interesami myśliwego ochronie całej przyrody. Jest ona konieczną, jeżeli chcemy, ażeby los tura i żubra, dzikiego konia i sumaka, bobra i sobola, ominął pozostałą u nas zwierzynę łowną.

Temi słowy kończę przypomnienie wielkiej w dziejach naszego myślistwa rocznicy zaczątków wolnego i racjonalnego polowania.

Juljan Ejsmond.

Zwierzostan Pamiru.

Ogromne płaskowzgórze środkowej Azji, otoczone z północnej strony pasmem gór Zaałajskich ze szczytem Kaufmana (21.000 stóp) i przełęczami na 15.000 stóp, z południa górami Hindukusza ze szczytem Cesarzewicz Mikołaj (26.000 stóp) i ze wschodu pasmem gór Tiaszańskich ze szczytem Muz-tag-ata (ojciec lodowych gór, 25.000), znane w geografji pod nazwą Pamiru (Bamian — dach świata dawnych Greków), formuje doliny: Wielki, Mały, Ak-su i Aliczur-Pamir, z jeziorami Wiktorja i Jaszyl-kul (Zielone jezioro). Średnia wysokość dolin około 13.000 stóp nad poziomem morza, przełęczy zaś—około 15.000.

W przeciwieństwie do Północno-Zachodniego Tybetu i pustyni Raskemu—Pamir ma szerokie doliny i przeważnie łagodne zbocza gór, pokrytych soczystą trawą, służącą za pokarm dla stad nielicznych aułów koczujących kirgizów. Z płaskowzgórza pamirskiego bierze początek Amu-Darja (grecki Oxus), do dziś największa rzeka Środkowej Azji, która za czasów Aleksandra Macedońskiego wpadała do morza Kaspijskiego, a dziś dochodzi tylko do morza Azowskiego.

Roślinność wogóle uboga. Nigdzie drzewka, nigdzie krzaczka. Niema nawet terskienu. Za opał służy wysuszony pomiot. Ale dla myśliwego to pole dla popisu, bo daje możność upolować dzikiego barana (Ovis Poli), ogromne zwierzę z rogami zakręconemi, jak u domowego barana i ważącemi do 100 i więcej funtów. Barany te pierwszy widział i opisał znakomity wenecki podróżnik Marco Polo, który w XIV wieku, jako poseł republiki do Hana Mongolskiego, dążył przez Baktrję i Pamir do zaginionego dziś w pustyni Gobi, a niegdyś ogromnego miasta Karakorum. Ponieważ jednak barany takie nie spotykały się nigdzie więcej na świecie, przeto zoologowie uważali opowiadanie Marco Polo za niezgodne z prawdą i oskarżenie o kłamstwo ciążyło w przeciągu kilku wieków na pamięci wielkiego podróżnika.

Dopiero w 1876 roku generał Skobielew przedsięwziął ekspedycję przeciwko kirgizom i kara-kipczakom, którzy pod dowództwem energicznej kirgizki Kurban-Dżan-Datahi (wdowy po kirgizkim beku), napadali na oddziały rosyjskie w dolinie Fergany, grabili co się dało i uciekali w góry. Rosjanie, po zaciętej obronie, sforsowali przełęcze w Ałajskiem paśmie gór i pięcioma kolumnami wdarli się w dolinę Wielkiego Ałaju, gdzie znaleźli tysiące kirgizkich aułów z całym dobytkiem. Kurban-Dżan-Dataha uciekła na Pamir, lecz oddział konnych strzelców dopędził ją około jeziora Wielkiego Kara-kula (jezioro Smocze) i wziął do niewoli. Skobielew przyjął ją z wielkiemi honorami, obdarował i zwolnił z całym dobytkiem na słowo, co tak ujęło kirgizkę, że sprowadziła swoich 5 synów i poruczyła ich Skobielewowi, który mianował ich bekami różnych kirgizkich szczepów. Ci zaś wiernie służyli Rosji w ciągu szeregu lat, utrzymując spokój i porządek w tej najbardziej wojowniczej części Fergany.

W pościgu za Kurban-Dżan-Datahą przyjmowałem udział jako adjutant Skobielewa i wtedy w okolicy jeziora Wielkiego Kara-kula widziałem po raz pierwszy całe pole, usiane kośćmi zwierzęcemi, wśród których leżały ogromne rogi. Jeden wspaniały egzemplarz rogów przywiozłem do sztabu Skobielewa, gdzie znakomity zoolog rosyjski Siewiercow określił, że to są rogi dzikich baranów. Wkrótce na zboczach gór Zaałajskich udało mu się upolować parę baranów, które opisał i na cześć Marco Polo nazwał Ovis Poli.

Barany te trzymają się stadami po kilkadziesiąt sztuk, staczają zajadłe walki z wilkami, które prześladują je z wściekłą zaciętością. Cmentarzyska z kości Ovis Poli spotykają się najczęściej u prostopadłych skał i krajowcy opowiadają, że to wilki starają się oddzielić kilka lub kilkanaście sztuk i pędzą je górami do miejsca, kończącego się prostopadłą skałą. Barany, nie mając wyjścia, rzucają się w przepaść, przyczem stare padają na rogi, robią koziołka w powietrzu i często biegną dalej, ale młode rozbijają się, kaleczą i stają zdobyczą wilków.

Polowanie na Ovis Poli jest bardzo trudne, gdyż zwierzęta te są nadzwyczaj ostrożne i trzymają się w miejscowościach na 15.000 stóp wys., gdzie wspinanie się w górę jest uciążliwe z powodu rzadkiego powietrza, lecz niebezpieczeństwa dla strzelca nie przedstawia: te ogromne zwierzęta po strzale zawsze uciekają. Pamirscy myśliwi-krajowcy śledzą je i podchodzą bardzo uporczywie z powodu smacznego mięsa i ciepłego lekkiego futra, z którego robią sobie czapki z nausznikami i długim tyłem, spuszczającym się na kołnierz kożucha.

Osobiście polowałem na nie często, ale tylko kiedy potrzebowałem mięsa, a zabijając, nie doznawałem satysfakcji, jaką ma każdy po zabiciu nietylko już jaka lub tygrysa, ale nawet dzika i kamiennego kozła. Zwierzę to nie umie się bronić i wskutek tego, z rozpowszechnieniem pośród krajowców dalekonośnych karabinów, musi wyginąć.

W latach 1892 — 1896 byłem naczelnikiem powiatu Oszskiego, w obręb którego wchodził Pamir. Wtedy polowanie na Ovis Poli było w wielkiej modzie wśród Anglików i Amerykan i co rok miałem po kilku gości z tych krajów. Pamiętam, z Florydy otrzymałem telegram od pana Simpsona z zapytaniem, ile czasu potrzeba na zdobycie na Pamirze dwóch dużych okazów Oris Poli. Odpowiedziałem: przy szczęściu — jeden dzień, przy pechu myśliwskim — życia człowieczego za-

mało. Wkrótce Simpson zjawił się osobiście. Siadł na statek u siebie, wysiadł w Hamburgu, skąd nigdzie nie zatrzymując się, przejechał całą Rosję i trzecią część Azji, żeby dostać się do Osza, a stamtąd na Pamir. Pomogłem zorganizować karawanę i dałem przewodników myśliwych. Po trzech tygodniach wrócił, przebywszy na Pamirze wszystkiego dwa dni i zdobywszy tam dwa przepiękne okazy Ovis Poli, skóry i rogi których zabrał ze sobą. Po dziesięciu dniach przysłał mi telegram pożegnalny z Hamburga, że już jest na statku i wraca do siebie. Zupełnie po amerykańsku.

Jak żubry były tylko w Białowieży, tak Ovis Poli były tylko na Pamirach. W pasmie gór Tianszańskich, u źródeł rzek Susamyra i Naryna (źródła Syr-Darji, greckiego Jaksartu), spotykałem pokrewne im ovis argali, ale Ovis Poli—nigdzie. Największe stado, jakie spotkałem w życiu, liczyło 60—80 sztuk. Było to na zboczach odkrytego przezemnie szczytu Czarkum, największego wierzchołka w tej części Azji obok Mur-tag-ata. Krajowcy powiadają, że w czasie rui—zaciekłych walk samców, zbierają się stada po 200 — 300 sztuk, ale mnie nie udało się spotkać takich stad. Częściej spotykają się na Pamirach i w Hindakuszu-Papai także dzikie barany, tylko mniejsze i chętniej trzymające się gór skalistych.

(D. c. n.) *Gen. Bronisław Grąbczewski.*

WILK.

Z pośród licznej rodziny psów, do jakiej, prócz naszych domowych, zaliczamy szakala, piesca, lisa i wilka, ten ostatni niewątpliwie jest jednym z najszkodliwszych, a zarazem i najniebezpieczniejszym zwierzem dla człowieka i jego dobytku. To też od czasów bardzo już zamierzchłych człowiek zawsze toczył z nim walkę zaciętą, ludzie łączyli się w grupy, osiedlali się w bliskiem ze sobą sąsiedztwie, zakładali wspólne wsie i osady, by tem skuteczniej walczyć z tem szkodliwem stworzeniem. Lecz nie tylko oddzielne grupy wiodły zażarty bój z tym wrogiem: w wielu krajach rządy przychodziły ludności z pomocą, utrzymywały oddzielne strzeleckie formacje do tępienia wilków. I tak w Anglji, gdzie ostatni wilk jeszcze w 1680 r. był zabity przez Kamerona Lokiela, istniał do niedawna zwierzchny urząd wysokiego łowczego-wilczarza, a w wielu kantonach Szwajcarji utrzymywano oddziały tępicieli wilków, które w ogromnej ilości nawiedziły w 1799 r. te okolice, ciągnąc tam za wielką armją Suworowa. Wilk z pośród swej braci najobszerniejsze zamieszkuje tereny tak starego, jak i nowego świata. Pospolity jest w Ameryce północnej, od Alaski do ujść Missisipi, — w Meksyku i dalej na południe — znany jest pod mianem „kujota". Nie jest osobliwością w dalekiej Australji, — a Azja zdaje się być kolebką jego i prawie niema tam zakątka, gdzieby nie był znany. Kipling, mówiąc o Indjach, wspomina o częstych wypadkach pożerania przez wilki hinduskich dzieci, w czasie polowych robót bez opieki pozostawianych w osadach. O masach wilków mówią nam statystyczne wykazy strat w dobytku koczowników w stepach Kirgiskich, czynionych przez tego rabusia, od którego roją się tajgi syberyjskie, góry Altaja, Mandżurja, Perskie, Palestyna; nie jest od niego wolny skalisty Tybet i stoki gór Himalajskich. O afrykańskim wilku mówi nam w swych cennych pamiętnikach francuski podróżnik myśliwy Foa, że przed zaciekłością i wytrwałością w pościgu i krwiożerczością mas tamtejszych wilków nawet lew ostać się nie może i pada ofiarą ich przewagi liczebnej. Nie mniej jest pospolitym w Europie. Od skalistej Skandynawji do dzikiej tundry Bolszeriemelskiej i Urala, w borach Wołogodzkich, na stepach południowej Rosji, w komyszach (trzcinach) i dżunglach przybrzeża Kaspijskiego i Czarnego morza, na Ukrainie i Podolu — Kaukazie, Krymie na Besarabji—w Karpatach, Węgrzech, Bałkanach, Polesiu i w krajach Nadbałtyckich—nawet w wielu miejscowościach naszego kraju, bal nawet w Hiszpanji — spotykamy go wszędzie nietylko pojedyńczo, ale często nawet włóczącego się w dużych stadach. Naturaliści i myśliwi po wilku syberyjskim dają pierwszeństwo naszemu karpackiemu, odznaczającemu się masywnością budowy, ciężkością i swym wzrostem, który w spięciu na łapy dochodzi nierzadko do 1,80 mtr. długości, przyczem trzecią część stanowi łeb z paszczą potężny, silnemi kłami uzbrojony; szczególnie w jego całej budowie wyróżnia się szeroki łeb, pierś szeroka i kark potężny, nogi, dość ostremi zakończone pazurami. Jest to zwierz nader silny, wytrwały na głód i zimno i z bardzo rozwiniętemi płucami, przez co zdaje się być nigdy niezmordowany w pościgu za zdobyczą i przewyższa tem swych współbraci, ustępuje im jednak co do zwinności, chytrości i przebiegłości i nie posiada zdolności zwężania źrenic, właściwej lisom (jak u kotów). Ukąszenie jego paszczy jest straszne. Widziałem jednym uchwytem wydarty ze skórą kłęb konia, rozpruły brzuch bydlęcia, oderwaną nogę źrebaka widziałem wilka przesadzającego sążniową zagrodę

z prosiakiem w paszczy, lub lekko uciekającego z owcą. Przysłowie o obżarstwie wilka jest zupełnie uzasadnione. Zawsze zdaje się być głodnym, morduje też zawsze, gdy ku temu ma sposobność. Znajdowałem w żołądku obżartej do niemożebności suki kęsy mięsa ze skórą i drobnemi kościami, ważące około 40 funt. Prócz zupełnie białego wilka z północnej Ameryki — takiegoż ubarwienia wilka tybetańskiego lub niemal czarnego z północ. Himalajów—wszędzie widzimy to zwierzę szarem lub płowem gęstem i puszystem futrem odziane. „Nie taki djabeł czarny, jak go malują“ i te słowa do wilka przytoczyć możemy co do jego odwagi i śmiałości. O ile te zwierzęta są śmiałe i natarczywe w gromadzie, o tyle wilk pojedyńczy jest strasznym tchórzem. W długoletniej mej myśliwskiej praktyce i włóczędze po różnych zakątkach naszego obszernego kraju, podróżach i wyprawach w europejskiej i azjatyckiej Rosji, spotykając się z tym zwierzem na swobodzie, w jego zwykłych warunkach życia, jak również chowanym w niewoli, miałem sposobność poznania jego życia, natury i obyczajów i zdobytemi wiadomościami w tym kierunku pragnę podzielić się z mą młodszą bracią myśliwską, a szczególnie z tą, która nie miała sposobności zetknięcia się z tym, bądź cobądź dla myśliwego ciekawym zwierzem. Otóż niespodziewane zetknięcie się wilka z człowiekiem wprawia go w chwilowe osłupienie i przestrach tak wielki, że momentalnie dostaje strasznego rozstroju żołądka, czego jasnym dowodem są długo niemilknące nieprzyzwoite głosy, wydawane w ucieczce. Miałem liczne dowody podobnego zachowania się chowanych długie lata wilków, na które raptowne pojawienie obcego człowieka ten skutek wywierało.

W 1880 r. rozpocząłem mój zawód myśliwski przeniesieniem się na Podlasie, w okolice lesiste i obfitujące w wilki i inną zwierzynę. Nie było tygodnia, by ten rabuś nie wyrządził u mnie, lub w sąsiedztwie jakiej szkody zadusił owcę, rozpruł brzuch bydlęciu, pokaleczył konia, rozszarpał psa. Wszystkie zaś moje zasadzki i polowania nietylko były bezskuteczne, ale naraziły na szwank mą łowiecką reputację przez zabicie, zamiast tego rabusia, ładnego, irlandzkiego doga mej pięknej sąsiadki pani Aleksandry. Lecz „przyszła kryska na Matyska“ wreszcie. W czasie sianożęcia dano mi znać, że w przejściu z naszych lasów do rządowych borów gromadka wilków zatrzymała się w zaroślach na piaszczystem wybrzeżu Wilgi. W kilka minut siedziałem w siodle i parłem na mym dońcu przez pola, ugory i łąki ku owym wydmom. Jeszcze byłem daleko, gdy w rzadkiej wiklinie spostrzegłem niespokojnie kręcące się 7 sztuk płowych zwierząt, które na mój widok chyłkiem poczęły umykać ku lasom. Udaje mi się dojechać ostatniego, porównać się z nim i czas dłuższy iść obok, nie spuszczając go z oka. Przed lasem ostatkiem sił mego ścigłego kozaka udaje mi się wyprzedzić zwierza, zeskoczyć z siodła, nabić jedną lufę i, gdy mnie mijał, palnąć do niego. Po strzale skręcił się, uchwycił zębami swój tył, lecz zebrał siły i uszedł w zarośla. Sięgam do kieszeni po nabój, próżna, wytrząsnęłem je wszystkie w czasie silnego biegu, a do tego jeszcze mój koń zadarł kity i zwiał do domu, pozostawiając mnie w dalekim lesie. Nie miałem znów tak wielkiej ochoty przy zapadającym zmroku, notabene z pustą rurą, biec za postrzałkiem, więc z długim nosem i próżną torbą powróciłem o pierwszem pianiu kura do domu. O świcie powróciłem do lasu, z pomocą strąbionego leśnika odnalazłem ślady, zielne łożyska krwawe i w końcu martwego starca, bezzębego, z szerści napół odartego i niemożliwie chudego. Był to pra-pra-dziad zapewne zwierząt tej kniei. Nie potrzebuję tu opisywać mej radości i tryumfu, wygłoszonego „orbi et urbi“ o mym pierwszym wilku! Byłem zrehabilitowany za owego doga p. Olesi.

Wł. Czerniejewski.

(Dok. nast.)

Święci myśliwi.

(*Ciąg dalszy*)

W kościele w Sillegny mamy malowidło ścienne z pierwszej połowy XVI wieku, przedstawiające nawrócenie św. Huberta. Hubert klęczy, a psy chwytają łanię z krzyżem między rogami. Na drzwiach wchodowych kościoła w Vaville znajduje się płaskorzeźba z tegoż czasu, która, z wyjątkiem kilku warjantów, powtarza zupełnie całą historję analogicznie do wyżej wspomnianego obrazu. Katedra w Metz ma przepiękny witraż z r. 1504, na którym zaznaczono oczywiście tylko sylwetkę, a wszystkie uboczne szczegóły zeszły na plan dalszy. W tejże katedrze znajduje się też zniszczone już dziś znacznie malowidło ścienne, przedstawiające polowanie św. Huberta. Witraż z tymże motywem posiada też kościół w Ennery. Opowieść była wielokrotnie przedstawiona także na krzyżach monumentalnych w Gandrange, Baumbiedersdorf etc., oraz na witrażach w kościołach:

w Volmerange, Longwy-Bas, Gandrange, Hambach i Breitenbach, wreszcie na obrazie w kościele w Hollingen. Równie wielką liczbę rzeźb spotyka się w tych okolicach, jak n. p. polichromowana statuetka z drzewa na portalu kościoła w Gandrange, lub ciekawa statua w Say, dawny i cenny zabytek po jakiemś bractwie, stary posąg w zakrystji kościoła w Ippling, oraz wiele już nowożytnych posągów w kościołach parafjalnych w Gandrange, Breitenbach, Ippling, Peltre, Kédange i t. d.

*

Wogóle w sztuce północnej śladów b rdzo wiele. Londyńska National Galery posiada obraz, przedstawiający wyjęcie z grobu zwłok św. Huberta, a którego autorstwo jest dość chwiejne. Więc jedni nazywają go szkołą Jana van Eycka, inni zaś przypisują Dirkowi Boutsowi lub Gerardowi van der Meire. Na ołtarzu przedstawione polowanie św. Huberta.

Były biskup z Mastrychtu i Liège obudził szczególne zajęcie u malarzy flamandzkich. Głównem ogniskiem zaś sztuki flamandzkiej z początkiem XVI wieku była Lejda i tu działał też głównie Lukas von Leyden (1494—1533), zwany niderlandzkim Dürerem, z którym się znał zresztą osobiście i którego technikę sobie przyswoił. Wśród blisko 200 sztychów znajduje się także „Légende de St. Hubert". Uderza nas swą subtelną techniką i swobodną kompozycją, ale brak pewnego religijnego ciepła, brak Dürerowskiego pogłębienia.

Znacznie lepiej opracował ten sam temat inny Flamandczyk, Joachim Patinir (umarł około 1624), w dziele galerji berlińskiej p. t: „Die Bekehrung des hl. Hubertus". Obraz ten może służyć za klasyczny przykład jego sztuki, która podkreśla szczególnie partję krajobrazową. Podobnie jak Altdorfer i niektórzy współcześni mistrze szkoły weneckiej, stworzył dzieło, w którem samo zdarzenie jest sztafażem, a krajobraz staje się głównym tematem obrazu. Brak jednak jeszcze w tem odtwarzaniu przyrody pewnej harmonji i organicznego powiązania tych wszystkich fantastycznych urwisk skalnych, leśnych zarośli, rzek i t. d. W stosunku zaś do całości obrazu staje się cała figura św. Huberta z cudownym jeleniem czemś zupełnie podrzędnem i ubocznem.

Do czego Patinir nieudolnie zdążał, okazał w całej pełni i doskonałości tak wszechstronny artysta, jak Jak Brueghel, zwany aksamitnym (1568—1625), prawy mistrz w odtwarzaniu tła krajobrazowego, zwierząt i kwiatów. On też dał bezwarunkowo najpiękniejsze w malarstwie przedstawienie legendy o św. Hubercie. Do tematu tego wracał kilkakrotnie. Znajdujemy więc obraz ze św. Hubertem w galerji berlińskiej, godny tej uwagi ze względu na to, że postać świętego malował sam Rubens, serdeczny Brueghla przyjaciel, a także w monachijskiej pinakotece i w madryckiem muzeum Prado.

Niezwykła opowieść cieszyła się równie wielkiem zainteresowaniem w Niemczech i pierwszorzędni twórcy usiłowali ją interpretować.

Najpierw więc Lucas Cranach (1472—1555), założyciel szkoły saskiej, już w r. 1505 w kościele Panny Marji w Torgau wśród 14 „auxiliares" maluje i św. Eustachego. A że lubił opracowywać tematy myśliwskie, czego przykładem polowanie na jelenia z r. 1529 w Pradze, więc dał też dowód zainteresowania się legendą o św. Hubercie w rysunku, znajdującym się w zbiorach drezdeńskich.

Opracowanie skończone z równo pod względem formalnym jak kompozycyjnym dał natomiast Albrecht Dürer (1471—1528), w miedziorycie, powstałym około r. 1505, mającym przedstawiać nawrócenie św. Eustachego, jak to sam artysta w swym pamiętniku zaznaczył. Doskonałość techniki można świetnie zauważyć na tym drobnym przykładzie. Nie znalazłby istotnie zbytecznego pociągnięcia kreski zarówno tło jak bohater i zwierzęta harmonijnie zestawione w pewien jednolity, psychiczny całokształt. Miedzioryt ten cieszył się wielką wziętością i często był odtąd przerabiany i kopjowany, jak n. p. kopją jego jest miedzioryt w Rzymie, w galerji Dorja. Postać zaś samą św. Eustachego odtworzył Dürer w słynnym ołtarzu Baumegartnera, znajdującym się obecnie w monachijskiej pinakotece, a zupełnie później przemalowanym. Święty przedstawiony z chorągwią, na której jego atrybut, jeleń z krzyżem między rogami.

Pozostają wreszcie do wymienienia Albert Altdorfer (1480—1538) i Wolf Huber (1480—1549).

A potem przez długie lata legenda o świętym jeleniu przestaje być pociągającym motywem i dopiero wiek XIX, który z chęcią do pełnych uczuciowej ekspresji tematów średniowiecznych wraca, wprowadza ponownie obu świętych do malarstwa, przeważnie św. Huberta i w nową formę zaklina dawną legendę. Szczególnie w malarstwie francuskiem liczne spotykamy jej opracowania. Tak np. stworzyli na ten temat dzieła Herrmann Léon, J. B. Gélibert, P. Baudry, A. Clermont-Gallerande.

Wobec tak wielkiego bogactwa obcych interpretacyj legendy o leśnych patronach, trudnoby choć na chwilę przypuszczać, żeby u nas brakło śladów tego podania. Znajdują się też istotnie liczne dowody jej znawstwa, choć więcej w literaturze, niż w sztuce.

Nie zapomniano o patronie łowów na ołtarzu św. Trójcy w kaplicy jagiellońskiej na Wawelu z r. 1467, była też w Szydłowcu na pergaminie minjatura, przedstawiająca św. Huberta.

Zresztą podobnie jak Zachód, zapoznaje się Polska z św. Eustachjuszem w formie „Żiwothu św. Eustachiusza męczennika", wydanego w Krakowie r. 1529 wraz z równie głośnym żywotem Aleksego. I dowiadywał się tu czytelnik, jako Eustachjusz: „gdy niektórego dnia jechał na łów, a chcąc jąć pięknego jelenia, bieżał za nim prędko, a jeleń wbieżał na jedną wysoką skałę, a jenż, gdy patrzał pilnie na onego jelenia, uźrzał między rogami jego wyobrażenie świętego krzyża". Jak wykazał J. Bystroń w „Spraw. kom. jęz." V, tłumaczono tekst cały z „Gesta Romanorum", a mu-

siała się podobać owa opowieść, skoro w wydanym w połowie XVI wieku przekładzie „Gesta Romanorum“ p. t. „Historje rzymskie“, nie zapomniano też o żywocie Eustachego. Odtąd też nie brak go w zbiorach przykładnych opowiadań, żywotach Świętych i kazaniach. Jędrnym językiem swym opowiada o nim w swych „Żywotach Świętych“ Piotr Skarga, znajdujemy go w Alberta Stanisława Radziwiłła, „Żywotach Swiętych“ (Kraków 1653), w „Krótkim zbiorze duchownych zabaw ojczystym wierszem“ (Częstochowa 1710) zamieścił go też Stanisław Chrościński, jak i w Władysława od S. Dionizego „Koronie całego roku“ (Wilno 1762), ale u tego ostatniego przeważa już trzykrotnie podkreślony św. Hubert; w rękopisach też często spotkać można św. Eustachego, a więc w pergaminowym kodeksie Ossolineum z pierwszej połowy XV w., a pochodzącym z polskiego klasztoru franciszkańskiego (l. inw. 103), nie brak też kazania de S. Eustachio, czerpanego głównie z „Legenda aurea“. A w połowie XVIII wieku, w r. 1751, płodny wierszopis, Józef Aleksander Jabłonowski, w oktawach długich opisal całą Eustachjuszową przygodę w poemacie p. t. „Ostafi po polsku, Eustachius po łacinie, Placyd po świecku“.

Dr. Adam Fischer.

(Dok. nast.)

Zwierzyniec poznański.

(*Dokończenie*).

Ambicja nasza nakazywać nam powinna, ażeby zwierzyniec poznański nie tylko istniał, nie tylko wegetował, ale stał się chlubą Poznania i narodu polskiego.

Cóż potrzeba do tego? Czem możemy i powinniśmy zwierzyńcowi naszemu pomóc? Przedewszystkiem:

Rząd — przez odpowiednią subwencję,

Społeczeństwo — przez przystępowanie do Towarzystwa, odwiedzanie ogrodu i urządzanych tamże koncertów,

Instytucje naukowe—przez zwiedzanie całemi szkołami zwierzyńca, ku czemu poparcie władz, ułatwieniem i zniżką biletów kolejowych jest nieodzowne.

Miasta — przez udzielanie rocznej, chociażby małej tylko subwencji. Kilkaset miast, jakie mamy w kraju, niechby udzieliły tylko 20 mk. od mieszkańca, a już byłaby to zapomoga wystarczająca do utrzymania zwierzyńca.

Zakłady przemysłowe — przez pamięć o zoologu naszym w dniach układania bilansu i rozdzielanie zapomóg instytucjom społecznym.

Towarzystwa — przez odbywanie zebrań i zabaw w salach i ogrodzie zwierzyńca.

Ziemianie — przez nadsyłanie siana, słomy i okopowizn, jakoteż i koni wybrakowanych na żer dla zwierząt.

Leśnicy i myśliwi — przez nadsyłanie schwytanych okazów fauny naszej.

Niechaj przy każdej nadarzającej się sposobności myśl o podtrzymaniu zoologu nas nie opuszcza, niechaj on będzie naszym ulubieńcem, obecnie chorym i słabym, ale drogiem nam dzieckiem, którego utrzymanie przy życiu uważać musimy, za nasz obowiązek obywatelski.

Niemcy porzucili demonstracyjnie to, co sami stworzyli. Czyż nie musielibyśmy się rumienić wobec samych siebie i wobec naszych przeciwników iż nie umieliśmy utrzymać tego, co oni zbudowali w celach kulturalnych, a nam w spuściźnie pozostawili?

Honor narodowy nie pozwoli upaść jedynemu dziś zwierzyńcowi w Polsce!

Dzięki tym zabiegom zaczął się obrót na lepsze. Przedewszystkiem zwiększyła się frekwencja zwiedzających. W roku 1922 zwiedziło go 213.977 osób dorosłych i 29.453 dzieci szkolnych (dzieci szkolne bezpłatnie).

Ilość zwierząt w tymże roku wzrosła do 278 sztuk w 97 gatunkach, a obecnie liczy 361 sztuk w 141 gatunkach. W ubiegłym i bieżącym roku uzupełniono padłe w czasie wojennym zwierzęta egzotyczne, zasługujące na szczególną uwagę. Z małp jest obecnie 9 gatunków w 22 sztukach. Z wielkich drapieżników oprócz dwóch zeszłego roku sprowadzonych, nabyto wspaniałego lwa, 2 lamparty, hienę, 2 szakale, niebawem zawita tygrys bengalski. Pozatem nabyto antylopę końską, tapira indyjskiego, jeżatkę afrykańską, mangusty lisie, ichneumona indyjskiego, 16 rozmaitych papug, owcę grzywiastą, jelenie wapiti, pekari obrożne, 8 kaczek i gęsi zagranicznych i wiele okazów fauny krajowej.

W całym zwierzyńcu przeprowadzono gruntowny remont wszystkich budynków, kiosków, stawów, mostów i zakładów ogrodniczych.

Na żywność dla zwierząt i na robociznę są największe wydatki. Ogród Zoologiczny posiada własne gospodarstwo, niezbędne do utrzymania

zwierzostanu. Dwa słonie zjadają dziennie 2 cent. siana, 2 cent. buraków wzgl. zielonej paszy i 1 cent. obroku, a dla drapieżców potrzeba tygodniowo 2—3 koni na żer. Robocizna pochłania tygodniowo 2,500,000 mk.

Te parę cyfr niech wystarczy do zorjentowania się, ile inwestycje i utrzymanie Zoologu kosztuje.

Wszystko to dokonano za pożyczone pieniądze w nadziei, iż ofiarność społeczeństwa pokryje te długi. I nie zawiedzie się zarząd ogrodu licząc na nasze poczucie obowiązku krzewienia piękna i krzewienia kultury. Ogród sam, znajdującym się tamże salonem sztuki i stowarzyszenia „Świt“, koncertami, starannością utrzymania, doborem ozdobniczych krzewów i kwiatów, daje nam w każdej porze a już przedewszystkiem letniej, obraz rozkoszny i najprzyjemniejsze miejsce pobytu. A jest on nietylko dla wielkich ale i dla małych obywateli Rzeczypospolitej. Potrzeba tylko zajrzeć tam w dni świąteczne i przeżyć chwilę wśród tłumu dziatwy, aby się przekonać jaka tam radość i szczęśliwość.

Wogóle czy można sobie wymarzyć odpowiedniejsze miejsce wytchnienia po trudach dziennej pracy, duchowego odpoczynku, jak w tej starannie pielęgnowanej i kulturalnej naszej instytucji!

Utrzymania jej—jako zawiązku innych zwierzyńców, które z biegiem czasu powstać powinny i powstać muszą we wszystkich naszych większych miastach,—jest rzeczą całego kulturalnego społeczeństwa polskiego.

Datki pieniężne należy przesyłać na rachunek Ogrodu Zoologicznego do Banku Poznańskiego Ziemstwa Kredytowego w Poznaniu, ul. Wjazdowa 11.

Wł. Janta-Połczyński.

Ku indyjskiej rubieży.

IV. Urta-tugaj.[1]

Pożółkłe trzciny i spalone przez słońce trawy nadawały dżungli widok jesienny. Przeczyły temu zielone liście drzew, a zwłaszcza bujne rośliny wodne w miejscach błotnistych. Przez tę żółtość trzcin zmienił Urta-tugaj swój ogólny wygląd, przypominał więcej, niż za pierwszą bytnością, znane z opisów dżungle indyjskie.

Namiętność łowiecka ciągnęła mię obecnie wgłąb trzcin przepastnych silniej, niż wówczas na wiosnę. Teraz, w środku jesieni odczuwałem instynktem, że pora myśliwska nadeszła, że młody zwierz już jest łowny. Nozdrza wciągały zapach zwiędłych traw, stawały w pamięci dnie jesienne w puszczy białoruskiej, przesiąkłe ostrą wonią butwiejących liści i paproci, dzwoniące daleką muzyką grających ogarów.

Ponieważ mieliśmy, podług wskazówek Niaza[2]), polować we wschodniej połowie wyspy, rozłożyliśmy więc prawidłowy obóz na czas dłuższy przy południowem wybrzeżu, zwróconem ku afgańskiemu brzegowi.

Komarów i muszek było mnóstwo, mniej jednak niż na wiosnę, a przytem były one jakieś ociężalsze, mniej drapieżne i zjadliwe.

Myśl naszą zajmowały naturalnie najwięcej tygrysy. Niaz zaraz pierwszego dnia opuścił obóz i udał się w pojedynkę wgłąb puszczy, żeby, jak mówił, powąchać, czy pachnie tygrysami.

Wrócił z miną niezbyt wesołą.

— Sucho! — mówił, — trzcina trzeszczy, śladów żadnych nie widać i, póki deszczu nie będzie, szejra trudno znaleźć. Czuszka[3]) dużo!

Z poradą więc naszego myśliwego postanowiliśmy polować tymczasem na dziki bez tropienia, z jego psem i małą naganką. Po pierwszym deszczu wszystkie siły miały być wytężone, aby zdobyć upragnionego „szejra“.

Cała wschodnia połowa wyspy przedstawiała bez porównania lepszy teren polowania, niż zachodnia. Niżej położona, zatapiana w wielu miejscach przez strumienie, wysyłane od rzeki wgłąb trzcin, nieprzebyta gęstwina, była poprzerzynana przez błotniste, porosłe osoką i wodnemi roślinami bajory, szeroko rozlane strugi wodne, pełne woni zgnilizny i butwiejących roślin. W trzcinach, gęsto przeplatanych otwartszemi miejscami, trzymały się dziki bodaj chętniej, niż w zwartej gęstwinie, mając obfitość żeru na bagnach. A wiadomą jest rzeczą, że tam, gdzie są dziki, najczęściej i tygrysa spotkać można.

Tymczasem jednak nic nie znamionowało zmiany pogody. Dzień cały prażyło gorące słońce, wiatr huczał w trzcinach, a wieczory, opromienione złotą zorzą, zwiastunką suszy, skropione obfitą rosą, były prześliczne i świeże. Rześkie, wygwiaździone noce, rozjaśnione z wieczora pierwszą kwadrą księżyca, były ciche, dżungla stała nieporuszona, bez szelestu, niby zaczarowana.

W ciszy tej słychać było daleki trzask idą-

---

[1]) Obszerna wyspa (około 70.000 ha) na rzece Piandż, zarosła dżunglą trzcinową.

[2]) Przewodnik, młody tadżik.

[3]) Miejscowa nazwa dzika, właściwie świni.

cych na żerowisko dzików, miękkie kroki i szmer przesuwających się drobnych drapieżników i inne nieuchwytne tajemnicze szelesty. Życie ptasze zamarło, nie było słychać nieustannego wiosennego świergotu, natomiast zwierzęta ssące, to trzymające się rodzinnemi stadkami, to już rozpierzchłe pojedyńczo, czyniły bez porównania więcej hałasu, niż na wiosnę.

Wyruszyliśmy na pierwsze polowanie o świcie. Strzelców było trzech, a Niaz prowadził pięciu kozaków naganki. Mieliśmy na chybił trafił zajmować ostępy trzcin, przerzynane błotkami, na których ustawiało się strzelców. Ale łowy te okazały się trudne z powodu gęstwiny, przez którą miała iść naganka. Trzciny, łozy i pojedyńcze drzewa były tak gęste, tak poprzerastane chmielem i innemi pnączami, że prawie niepodobna było się przedostać nie przecinając sobie przejścia. Każdy więc miot trwał 2—3 godziny, co czyniło polowanie nudnem. Wyczekiwanie bez końca na stanowisku dłużyło się niepomiernie, a wolne i uciążliwe, choć hałaśliwe przedzieranie się naganki często wypędzało zwierza na boki, zamiast kierować go wprost na linję. Zwierzyny jednak było dużo i, choć jakkolwiek nie czułem wielkiego pociągu do tego rodzaju polowania, jednak zeszły nam na niem pierwsze trzy dni łowów.

Pierwszego dnia w drugim miocie wyszło na Bilkiewicza z hukiem i trzaskiem stadko dzików, z którego powalił on pięknym dubletem dwa roczniaki, wysokonogie i rudobokie, zupełnie podobne do naszych.

Drugi dzień był najciekawszy. W pierwszym zakładzie stałem niedaleko rzeki, której szum dochodził mię wyraźnie poprzez suche szelesty trzcin. Wąska linja strumienia dzieliła ostęp od dalszej kniei poza mną, stałem nieruchomo, myszkując wzrokiem w gęstwinie dżungli, a kątami oczów śledząc na obie strony przerzedzoną linję. Przy ciągłym szumie nie słyszałem, czy naganka już ruszyła, choć zwykle posuwanie się człowieka przez trzeszczące trzciny słychać było na kilometr. Eksplorę trzymałem jednak z przyzwyczajenia gotową do strzału, nabitą jak na dziki, kulą i loftkami.

A wtem zdało mi się, że poruszyło się coś w trzcinach od lewego boku. Niby nieuchwytny cień jakiś, żółtawy jak trzciny, zamigotał i znikł. Po chwili znów, bliżej ku linji.

Nieznacznym ruchem podniosła się strzelba do twarzy, chwila oczekiwania — i pomiędzy rzadszemi trawami na brzegu strumienia ujrzałem o 40 kroków płowe zwierzę, wielkości niedużego psa, o elastycznych ruchach i przebiegłej kociej głowie.

Nastawione uszy zastygły na chwilę nieruchomo, a zielone drapieżne źrenice wlepione były we mnie, lecz zanim przeszła chwila zdumienia, huknął mój strzał, a zwierz w śmiertelnym skoku przesadził strumyk i, młynkując przy następnym susie, rozciągnał się, charcząc głucho.

W chwili strzału usłyszałem po drugiej swej stronie głośny trzask trzcin i ciężki tupot nóg, a podczas gdy przerzuciłem strzelbę na pół obrotu, zaczerniła się luka olbrzymiem ciemnem cielskiem.

Bez wahania, łapiąc z przyrzutu na cel, wypaliłem z lewej lufy, nabitej stożkową kulą. Głośny łomot dał się słyszeć w trzcinach, kilka susów i cisza nastała.

Odbyło się to wszystko tak prędko, że strzały nastąpiły jeden po drugim najwyżej w przeciągu sekundy.

— Ciekawy byłby dublet,—pomyślałem i, nie mogąc wytrzymać dłużej, rzuciłem się na miejsce drugiego strzału, którego nie byłem pewien.

Przetrzebioną przez ogromnego zwierza ścieżką zapuściłem się wgłąb dżungli z palcem na cynglu i o 20 kroków spostrzegłem nieżywego już olbrzymiego odyńca o potężnych wystających kłach. Leżał, jak zwykle, na brzuchu z podkurczonemi pod siebie nogami. Rozrywająca kula 12 kalibru trafiła dobrze na łopatkę i zadała cios śmiertelny, waląc prawie na miejscu dużą i silną sztukę.

Teraz zwróciłem się do pierwszej zdobyczy i rozpoznałem w niej rysia stepowego, czyli karakala. Jednobarwnie płowe, krótkowłose futerko było nieco jaśniejsze na brzuchu, a w ogólnym kolorycie tak stonowane z tłem trzcin, że już o słabym zmierzchu niepodobnaby go było dostrzec. Grube, miękkie łapy i ostre uszy o ledwo znacznych pędzelkach, przypominały naszego rysia, różniła go natomiast od północnego krewniaka barwa, postać smuklejsza i nieco mniejsze rozmiary.

Dnia tego zabiłem jeszcze trzy dziki, ale młode, a ogółem przez trzy dni tych łowów, w czasie których opolowaliśmy przestrzeń około 20 km. kwadr. w okolicy obozu, padło 18 sztuk dzików różnej wielkości, karakal i zabite przez Bilkiewicza dziwaczne zwierzę, które się okazało tak zwanym ratelem, czyli borsukiem miodowym.

Włodzimierz Korsak.

(C. d. n.)

Dnia 17 b. m. odbyło się ogólne zebranie Siedleckiego Towarzystwa Łowieckiego w Siedlcach. Siedleckie Towarzystwo Łowieckie jest pierwszą zalegalizowaną instytucją tego rodzaju. Wybrano nowy zarząd w skład którego weszli: Pp. Ornoch Jan i Stanisław, Zawistowski, Kurowski, Piechowski, Szczygielski oraz Stanisław i Jerzy Dylewscy. W skład komisji rewizyjnej wybrano pp. Czarnockiego, Wójtowicza i Szałatkowskiego Stanisława.

Pies myśliwski.

Charty polskie.

Ażeby skończyć z chartami, zapoznamy się jeszcze z chartami polskiemi, które obecnie prawie zaginęły, ongiś jednak, mając świetne pole wśród obszarów kresowych Rzeczypospolitej były dobrze szerszemu ogółowi znane. Początek tych chartów u nas nie jest dokładnie wiadomy, jednak ze względu na ich typ, przyjąć możemy, że są pochodzenia angielskiego. Tylko nie dostały się one prawdopodobnie do Polski z Anglji wprost, a przez Inflanty, gdzie już były minimalnie zmodyfikowane. Bardzo też jest możliwa przymieszka krwi „borzoj“ ze względu na stosunki sąsiedzkie, a także krwi chartów krymskich. Z powodu tego, iż charty polskie były używane na wilki, musiały być cięższej zbudowane. Sprowadzane w czasie małej jeszcze szlachetności psów angielskich — nie mogłyby dzisiaj oczywiście pod tym względem im dorównać. W każdym razie nie wiele ustępując greyhoundom pod względem szybkości, były silniejsze nawet od „borzych“ i przedewszystkiem doskonale do warunków miejscowych. przystosowane. Typu zupełnie jednolitego jednak nie zdołano przed upadkiem rasy całkowicie wypracować. Więc wśród psów krótkowłosych trafiały się niekiedy krótkowłose z piórem na ogonie.

Gończe.

Załatwiwszy się dosyć pobieżnie z chartami, przechodzimy do następnej grupy psów myśliwskich, jaką przedstawiają gończe cz. ogary. Kwestja pochodzenia tych psów nie jest z całą pewnością rozstrzygnięta. Keller twierdzi, że rozwinęły się one z chartów, które, dostawszy się z Afryki przez wyspy Balearskie do Hiszpanji i uległszy zmianie warunków, przekształciły się tak zasadniczo. Opiera się on na tem, że śledząc uważnie freski jeszcze z czasów egipskich, „można zauważyć przemianę chartów w psy myśliwskie niemal krok za krokiem“.

Gdyby hypoteza ta miała cechy prawdopodobieństwa — możnaby wszystkie niemal psy myśliwskie połączyć w oddzielną grupę, pochodzącą od jednego wspólnego praprzodka. Jednak niebezpieczną jest rzeczą zbytnio się opierać na freskach egipskich, o których wiemy, jak niezmiernie były stylizowane. To też Hilzheimer stawia pierwsze veto przeciwko twierdzeniu Kellera; badania jego dowodzą bowiem, że czaszki staro-egipskich psów myśliwskich przypominają bardzo czaszkę wielkiego szakala egipskiego C. Doederleini. Nie jest to jednak podobieństwo tak rażące, jak między czaszką charta i wilka abisyńskiego. Odkrycie przeto Hilzheimera nie posiadałoby zbyt poważnego znaczenia, gdyby nie odnalezienie przez Woldricha w pokładach epoki bronzu czaszki o typie blizkim czaszkom naszych psów myśliwskich. Psa owego, wykrytego w okolicach Weikersdo fu i Pulkanu, w dolnej Austrji, Woldrich nazwał C. f. intermedius, gdyż przedstawia on typ pośredni między C. f. palustris, Rütimeyer (szpic torfowy) i C. f. matris optimae Jeitteles (pradziad collie) i jest uważany za produkt skrzyżowania tych dwóch odmian. Ponieważ szpic torfowy pochodzi od szakala, nic przeto dziwnego, że podobieństwo, jakie znalazł Hilheimer między czaszką C. Doederleini i czaszką psa myśliwskiego, jest możliwem, w krwi bowie C. f. intermedius pół krwi szakala płynie. Odkrycie więc Hilzheimera jest tylko poparciem twierdzenia Woldricha. Dalej współczesne już nam legawce poprawiane „collie“ doskonale go asymilowały, minimalnie tracąc na typie, co dowodzi tylko wielkiego tych psów pokrewieństwa. Wreszcie, pochodzące od szpica torfowego—terriery, dały klasyczną krzyżówkę z foxhoundem (lisogonem) czyli psem typu C. f. intermedius, która się wyraziła w kształcie foxterriera. Wszystkie te dane przemawiają, za pochodzeniem ogara od C. f. intermedius. Nie jest jednak C. f. intermedius wyłącznym przodkiem naszych gończych. W historycznych już bowiem czasach — w okresie wkroczenia Maurów do Hiszpanji i późniejszych wypraw krzyżowych zostały sprowadzone do Europy owe gończe afrykańskie, których praojcowie przedstawiani byli już zapewne na freskach egipskich współrzędnie z chartami. Otóż te psy afrykańskie w połączeniu z rasami lokalnemi Europy, pochodzącemi od C. f. intermedius, dały psy doskonale przystosowane do tropienia różnego rodzaju zwierzyny—i one to właśnie są protoplastami wszystkich ras współczesnych nam gończych. Wyświetlenie powstania psów gończych zmusza nas do podziału psów myśliwskich na dwie wielkie rodziny: a) charta pochodzącego od C. f. simensis i b) gończego, biorącego początek z połączenia potomków C. f. intermedius z gończemi typu afrykańskiego, skąd także pośrednio, jak się przekonamy dalej, wywodzą się jamniki, wyżły i legawce, z któremi wreszcie spokrewnione są w najodleglejszych prapoczątkach również i terriery; rodowód ich bowiem od C. f. palustris, Rütim. się poczyna. Gończe bardzo zbliżają się instynktami swemi do psów żyjących w stanie dzikości, które polując na własną rękę, gonią zwierza, wydając przytem charakterystyczny głos. I faktycznie nasze gończe różnią się od innych kundysów długotrwałą kulturą, dzięki opiece człowieka, i zasadniczo tem, że pochodzą od psów zwisłouchych. Ogólnie istnieją dwa typy gończych: 1) typ południowo-zachodni i 2) typ północno-wschodni. Typ p. zachodni posiada charaktery-

styczną dość wązką głowę, która widziana z góry przedstawia się niemal równoboczną w całej swej rozciągłości. Mordy są ścięte, oczy małe, o obwiśniętej nieco powiece dolnej. Uszy tych psów są długie, zwisłe i zaokrąglone, ogon gruby bez pióra nieco w górę zadarty. Charakterystyczną dla tych psów jest maść, która czy to w jednolitej barwie pierwotnej, czy też w srokatych kolorach kulturalnych nie posiada na danym osobniku żadnych odcieni, t. zn. równie jest intensywną na grzbiecie np., jak i pod brzuchem. Podpalanie jest wyraźne, odcinające się od przylegającej barwy i mocne w tonie. Psy gończe typu północno-wschodniego, pod wpływem krzyżówek psów afrykańskich z przeważającą ilością psów północnych, posiadają typ tych ostatnich. Więc spojrzenie kose niekiedy, ogony puszyste i zakręcone, uszy zwisłe, lecz krótkie i trójkątne, mordy szpiczaste przy znacznej szerokości czaszki, co czyni, że głowa widziana z wierzchu jest formy raczej trójkątnej. Maść ich jest jednolita bura, niekiedy czarna. Pod włosem znajduje się puch barwy zawsze szarej. Podpalanie jest mało intensywne i ziewające się z tłem ogólnem, sierć na spodzie ciała zwykle jaśniejsza, niż na grzbiecie. Otóż do typu psów półn.-wschodniego należą gończe rosyjskie, zaś do typu poł.-zachodniego wszystkie niemal pozostałe gończe europejskie.

Jan Grabowski.

(C. d. n.)

Korespondencje.

Nie kupujcie.

Z początkiem bieżącego roku, prawie przy wszystkich czasopismach warszawskich, otrzymywaliśmy na prowincji z firmy Wydawnictw Graficznych p. St. Lityńskiego, Warszawa ul. Żórawia 13, specjalne zaproszenia, na przedpłatę: „Księgi adresowej Obywateli Ziemskich, Kółek Rolniczych, Syndykatów" i t. p., stanowiącej tom odrębny, którego cena miała wynosić bez oprawy mkp. 12,000, a w kartonowo-płóciennej oprawie mkp. 15,000, przesyłka zaś tomu mkp. 1000.—

10 kwietnia r. b. wysłałem przekazem pocztowym mkp. 16,000, prosząc o przysłanie mi tego tomu w oprawie, ale przez cały miesiąc daremnie czekałem na przesyłkę, bodaj na potwierdzenie obstalunku, dość, że musiałem specjalnie reklamować w tym względzie. Nareszcie 22 b. m. otrzymałem z poczty zamówioną książkę, ale nieoprawną i musiałem do niej dopłacić mkp. 6000, doprawdy nie wiem za co?

Sprawdziłem drobiazgo o nasz powiat hrubieszowski, i na 77 podanych adresów, z ledwie 9 wyraźnie dziewięć jest dobrych, rzeczywistych, a 68 zupełnie fałszywych, z horrendalnie poprzekręcanymi nazwiskami ziemian i folwarków, mnóstwo osób i majątków opuszczonych, a co do adresów poczty i stacji kolejowych, są nieprawdopodobne, absurdalne wprost pomyłki, jak np.: Lublin, lub N.-Aleksandrja. Gdzie Rzym, gdzie Krym, a przecież już za polskich rządów N.-Aleksandrji niema, są tylko Puławy, a zdaje się, że powiat ten, jak i lubelski nie graniczy nawet z hrubieszowskim!?......

Co do nazwisk, to spotykamy takie niedopuszczalne przemiany: zamiast Brzeźniakiewicz, wydrukowano Brzezierakowicz, — zam. du Château, wydr. Chateus, — zam. Lachman, wydr. Lachmand, a już prezesa C. T. R. Fudakowskiego, pozwolono sobie nazwać Fudatkowski. Te same dziwolągi i bzdury powtarzają się w 80% wśród nazw folwarków, co dowodzi, że to nie jest „nomen omen", lecz poprostu ogromna niedbałość i lekceważenie sobie i toty rzeczy, a przecież nic łatwiejszego było, jak odpisać z Głównego Zarządu Związku Ziemian w Warszawie (Kopernika 30), nazwiska i adresy wszystkich członków Zw. Ziemian, a za pośrednictwem poszczególnych Oddz. Zw. Z., otrzymać nazwiska i adresy niecczłonków.

Firmy berlińskie, wiedeńskie, nawet drezdeńskie zarzucają nas ciągle różnemi ogłoszeniami i inwitacjami do kupna narzędzi, maszyn, oraz zbóż, a listy swe adresują według fałszywych danych powyższej księgi adresowej, która widocznie idzie nawet zagranicę, silnie reklamowana,—zatem krzywdę ona robi adresatom, podając ich fałszywe nazwiska i adresy.

W konkluzji krytyki powyższego wydawnictwa, dojść musimy do wniosku, że, mając tylko na względzie kolosalny dochód z tak licznych ogłoszeń w księdze, z całą świadomością niedbalstwa i lekceważenia sobie działów adresowych ziemian-rolników i Kółek Rolniczych, użyto reklamy ich na przynętę, i poprostu „wzięto na kawał" przedpłatników, ciesząc się, że „towar poszedł", i to po cenie daleko wyższej, jak głoszono w prospekcie.

Doprawdy, to wstyd i hańba wyzyskiwać wiarę i zaufanie publiczności, puszczając w świat księgę informacyjną, opartą na fałszach i absurdach, dlatego też zwracam się do jaknajszerszych kręgów publiczności ze szczerą radą:

Księgi adresowej Obywateli Ziemskich, Wydawnictwa Graficznego — Stanisława Lityńskiego w Warszawie, ul. Żórawia Nr. 13 nie kupujcie!!!

Jan Stefan Wydżga
Dyrektor Hrubieszowskiego Związku Ziemian.

Z Polesia.

W spóźnionej korespondencji podaję szczegóły zaczerpnięte z raportu objazdowego strzelca jaki złożył w mar u r. b. łowczemu naszego kółka poleskiego, p. Lenkiewiczowi.

Mróz trzymał, lecz śniegu nie było. Kilku poleszuków udało się wozami po siano, które zwozili ze stogów na dalekich mokradłach. Jadąc wczesnym rankiem, zoczyli zdala w brzasku poczynającego się dnia łosia byka, stojącego koło stogu. Rada w radę, postanowili wilczym sposobem,—wiedząc, że łoś spłoszony na lodzie, natychmiast się przewraca,—zajść mu od lasu i wpędzić go na pobliskie jezioro. Podstęp się udał i biedne zwierzę przewróciwszy się na śliskim lodzie powstać nie mogło. Najgorętszy z chłopków chciał łosia natychmiast toporem zabić, lecz rozwaga wzięła górę, bo... a nuż uda go się żywcem wziąć, toć żydzi w pobliskim miasteczku dwa razy tyle zapłacą za „koszer", no i chciwość wzięła górę. Spętano łosia sznurami, choć nieobyło się bez kopnięcia od którego wyskoczyło jednemu jabłko w kolanie i nuże go wlec po lodzie.

Był jednak djabelnie ciężki, więc trzech zostało na straży, a jednego posłali po konia z orczykiem i tak go dowlekli do drogi, gdzie stały wozy. Był jednak zaduży, żeby go włożyć na wóz, więc mocno przez pół i za kark przywiązali go do wozu, czterech zaś, bojąc się doń zbliżyć, po rozpętaniu go, pomni nauczki, jaką dał jednemu z nich, zapomocą sznurów popychali go z tyłu. Szło to opornie, ale jakoś szło i spory już szmat drogi przebyli, aż zbliżyli się do lasu. Tu jednak stało się coś, czego nieoczekiwali: król puszcz poleskich jednem szarpnięciem przewrócił konia i pędem puścił się w las, ciągnąc za sobą i obijając o drzewa leżącą szkapinę. Epilog zaimprowizowanego polowania był bardzo żałosny: wóz potrzaskany w drobne kawałki; koń pokaleczony i nieomal ze skóry odarty, łoś zaś, porwawszy pęta, uszedł cały w knieje.

Józef Błeszyński.

W sprawie ustawy łowieckiej, obowiązującej na Kresach Wschodnich.

Nie ulega wątpliwości, że każdy myśliwy jest obowiązany znać ustawę łowiecką, obowiązującą w całem państwie, a już bezwzględnie obowiązującą w tej dzielnicy, w której wykonuje polowanie bądź stale, bądź dorywczo.

Ten sam obowiązek ciąży na osobach i redakcjach, które w swych wydawnictwach zamieszczają czas ochronny zwierząt łownych.

Niestety u nas jeszcze tak nie jest.

„Leśnik Polski — podręcznik dla leśników wraz z kalendarzem na rok 1922" (wydawnictwo Towarz. Gospodarczego we Lwowie) popełnia błąd, umieszczając na stronicy 268 „Czas ochronny zwierząt łownych" zgodnie z byłą ustawą rosyjską. Niezupełna pewność w stosunku do dat ochronnego czasu dla zwierzyny, obowiązujących na Kresach Wschodnich, przegląda i z polemiki prowadzonej w ostatnich numerach pism łowieckich z powodu upolowanych 3 rogaczy na Polesiu.

Uważam więc za uzasadnione przytoczyć w krótkim zarysie historyczny przebieg kolejno wydawanych ustaw łowieckich w stosunku do Kresów Wschodnich (zaboru rosyjskiego, za wykluczeniem Królestwa Polskiego).

Do roku 1894 obowiązywała w tym kraju ustawa rosyjska, redukująca czas ochrony dla wszelkiej zwierzyny za wyjątkiem głuszców, cietrzewi (kogutów), słomek, kaczorów i drapieżników do czterech miesięcy w roku: od 1 marca do 29 czerwca starego stylu (Ś-to Piotra i Pawła).

W roku 1893 dnia 3 lutego wydał rząd rosyjski nową łowiecką ustawę, obowiązującą w całem państwie za wyjątkiem Królestwa Polskiego, Finlandji i Kurlandji, które to kraje postradały własne odmienne ustawy łowieckie (Królestwo Polskie z r. 1871).

Moc prawna tej ustawy w stosunku do Kresów Wschodnich przetrwała do 12 marca 1920 r., w którym to dniu Zarząd Cywilny Ziem Wschodnich (Dziennik Urzędowy Zarządu Cywilnego Ziem Wschodnich Nr. 20 z dnia 12 marca, rozporządzenie 532 z dnia 2 marca 1920 r.) ogłosił ustawę łowiecką, obowiązującą na Ziemiach Wschodnich.

Moc prawna tej ustawy trwa u nas obecnie. Różni się ona od byłej rosyjskiej, dostosowanej do starego stylu, przedewszystkiem tem, że uzgadnia odnośne terminy ochronnego czasu z nowym stylem, zamyka na szereg lat całkowicie polowanie na łosie rogale (a nie tylko klempy), skraca okres polowania na głuszce koguty, zamyka całkowicie na głuszyce, ustanawia czas ochronny dla dzików, przyznaje właścicielowi rewiru łowieckiego prawo własności w stosunku do upolowanej przez kłusownika zwierzyny (rosyjska ustawa tego prawa nie przewidywała) i t. d.

Wydaną była ta ustawa na skutek wniosku Wileńskiego T-wa Myśliwskiego, a opracowaną ze współudziałem jego Zarządu.

Bolesław Świętorzecki.

Uwagi do projektowanej Ustawy łowieckiej.

Do art. 5 i 6. Ponieważ w skład większości Sejmików wchodzą przeważnie przedstawiciele mniejszej własności, śród których może niebyć ani jednego prawdziwego myśliwego, lecz na zawołanie znajdą się przewidziani punktami *b* i *C* art. 5 kandydaci do rady łowieckiej, to w radach ł. w większości powiatów reprezentanci mniejszej własności stale stanowić będą większość; bo nie ulega wątpliwości, że chęć władzy i antagonizm klasowy zrobi swoje, żaden z inteligentnych myśliwych z po za Sejmiku do rady ł. powołany nie zostanie, rozpocznie się faworyzowanie krewnych, powinowatych i znajomych, a art. 31 Ustawy pozostanie pobożnem życzeniem, i skutkami tego będzie nowa bachanalja tępienia zwierzyny, jaką w latach 1918-19 już mieliśmy. To jest pewnik; a przecież posiadamy w kraju wiele

dobrze zorganizowanych Towarzystw Myśliwskich, które od chwili swego istnienia z powodzeniem walczą nietylko z kłusownictwem, lecz i ze Starostwami, z powodu zbyt bezkrytycznego wydawania kart łowieckich.

Te T-wa Myśl., w skład których wchodzą najlepsze siły, Ustawa pozostawia na uboczu. Jest to błąd wielki, bo siły te będąc powołanemi do pracy, wiele dla podniesienia zwierzostanu uczynić mogą i dlatego należy dać im odpowiednie miejsce prawem wskazane w powiatowych radach łowieckich, wzamian kandydatów Sejmiku, oznaczonych w art. 5 literą *C*. Ujmy żadnej od tego nikomu się nie stanie, a sprawa na tem tylko zyska. Wprawdzie nie w każdym powiecie T-wa Myśl. są zorganizowane, lecz potrzebą zorganizowania się będzie niniejsza Ustawa, a o ile zaś w którymkolwiekbądź z powiatów T. M. niema, wspomnianych wyżej członków zamianuje Wojewoda na przedstawienie Starosty z liczby znanych i poważnych myśliwych, których w każdym powiecie nie zbraknie. Tej sprawy milczeniem pominąć niepodobna i tych praw T-wa M. i inteligentni myśliwi dla dobra sprawy winni się domagać.

Do art. 22. Art. ten jest zbędny ponieważ art. 23 praw własności broni dostatecznie.

Do art. 27—8. Podział kart łowieckich na kategorje uważam za niepożądany ze względów etycznych, udzielanie zaś kart czasowych jest nie tylko nie pożądane, lecz nawet szkodliwe, bo napłodzi sontagsjegerów, których mamy i tak bez liku. Następnie w Ustawie niema żadnej wzmianki na jakie cele pójdą kwoty pobierane za karty łowieckie i mojem zdaniem jest, że ponieważ ogólna suma tego dochodu dla Skarbu i dla Sejmików nie przedstawia wielkiego znaczenia, byłoby bardzo pożądanem, ażeby dochód ten na przeciąg lat 3—5 oddany został do dyspozycji powiatowych rad łowieckich na ochronę i podniesienie zwierzostanu.

Do art. 33—4. Sądzę, że wyjaśnienia kto może być strażnikiem, są zbędne, ponieważ żaden pracodawca świadomie złodzieja do służby nie przyjmie; przysięga zaś absolutnie żadnej gwarancji uczciwości nie daje.

Art. 35—36. Są zbędne.

Następnie, porządek zamiany kart łowieckich w połowie sezonu zimowego jest wielce niedogodny dla myśliwych i ze względów fiskalnych dla policji. Sądzę, że karty łowieckie należałoby wydawać na termin od 1 lipca do 1 lipca, wówczas z winy administracji, czy to z braku druków lub innych przyczyn w polu nie spotkamy myśliwego, który tłomaczyłby się, że karta jego leży w Starostwie oddana do zamiany i żaden myśliwy prawnie polujący z tego tytułu nie dozna od policji żadnej przykrości, gdyż w wolnym od polowania czasie kartę swą na nową zamienić zdąży. Wydawania uprawnień na posiadanie broni myśliwskiej dla obrony należy stanowczo wzbronić, natomiast myśliwy może otrzymać uprawnienie posiadania kilku broni myśliwskich.

A. Łochtin.

Ostrów Łomżyński, 15 maja 1923 r.

Z TOWARZYSTW MYŚLIWSKICH.

Do zrzeszonych Towarzystw w Polskim Związku Myśliwych.

Podaje się do wiadomości:

Na Sejmiku w dniu 25 czerwca 1923 r., na którym były reprezentowane towarzystwa z ilością 917 głosów, uchwalono jednomyślnie następującą rezulucję:

Trzeci Sejmik Polskiego Związku Myśliwych pochwala postępowanie Głównego Zarządu wobec warszawskiej komisji kostytucyjnej III Sejmiku i uchwala wobec nowoutworzonej „Centrali Polskich Stowarzyszeń Łowieckich“ zająć stanowisko wyczekujące.

Zawieszając czynności Związku, Sejmik wzywa poszczególne towarzystwa zrzeszone w Związku do tem intensywniejszej pracy.

Gdyby wszakże nowa Centrala nie wypełniła podjętego zadania przyłączenia wszelkich towarzystw myśliwskich do jednego Związku, w takim razie upoważnia się Główny Zarząd najpóźniej w czerwcu 1924 r. do zwołania nowego Sejmiku w celu podjęcia dalszych uchwał.

Fundusze pozostałe pozostawia się do dyspozycji Głównego Zarządu.

Do Głównego Zarządu wybrano pp.: Wł. Janta-Polczyńskiego jako Wielkiego Łowczego, na zastępców generała Antoniego Unruga z Piotrkowa i radcę woj. Alfreda Paruszewskiego, na sekretarza Fr. Unruga z Głuszyna.

Główny Zarząd Polskiego Związku Myśliwych.

Wł. Janta-Połczyński, wielki łowczy.

Kółko Łowieckie „Jeleń“.

W imieniu Kółka Łowieckiego „Jeleń“ w Warszawie niniejszem uprzejmie proszę Sz. Redakcję „Przeglądu Myśliwskiego“ o łaskawe umieszczenie w swym wielce sympatycznym organie co następuje:

W dniu 7 września 1922 r., przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych za Nr. 774, został zatwierdzony Statut Kółka Łowieckiego „Jeleń“ w Warszawie. Założycielami Kółka są pp. B. Krysiński, J. Łada, St. Mertens, B. Żak, L. Krukowski i T. Golędzinowski. W dniu dzisiejszym Kółko liczy 24 członków. Zarząd stanowią pp.: Prezes — J. Łada, gospodarz i łowczy — B. Krysiński, sekretarz—L. Krukowski, skarbnik—H. Kalinowski, zastępcy — St. Mertens i A. Garwoliński. Główne kierownictwo sprawami Kółka spoczywa w ręku gospodarza i łowczego, kol. B. Krysińskiego, w lokalu którego (Złota 39, tel. 139-01) jest tymczasowa siedziba Kółka.

Przy sposobności nadmieniam, iż na ostatniem Ogólnem zebraniu, na wniosek Zarządu, wszyscy członkowie Kółka przyrzekli zaprenumerować „Przegląd Myśliwski“.

Mając nadzieję, iż Sz. Redakcja nie odmówi mej niniejszej prośbie, piszę się z prawdziwym szacunkiem i poważaniem.

B. Krysiński, gospodarz i łowczy.

SPRAWY BIEŻĄCE.

Konkursowe strzelanie myśliwskie.

W Poznaniu odbyło się z inicjatywy Towarzystwa Łowieckiego strzelanie myśliwskie pod przewodnictwem prezesa Wielkopolskiego Klubu Łowieckiego dr. Chosłowskiego, na najpiękniejszej idealnie odpowiadającej temu celowi strzelnicy zbudowanej przez fabrykę broni i amunicji Kazimierza Chmielewskiego. Jury w osobach gen. Unruga i p. Leona Gutty'ego uznało za najlepsze strzały w strzelaniu do posuwanego automatycznie dzika i rogacza ukazującego się na 10 sekund dane przez pp. Stanisława Unruga i architekta Stanisława Mieczkowskiego. Najlepsze strzały do stojącego rogacza dali pp. Kazimierz Gozimirski i major Chosłowski, do posuwanych automatycznie zajęcy, architekt p. Stanisław Mieczkowski, laureat nagrody w międzynarodowem strzelaniu do gołębi w roku 1912 w Ostendzie i notarjusz dr. Chłapowski, do gołębi z jedynek dr. Adam Chłapowski i Stanisław Mieczkowski, do gołębi z uglotów mjr. Chosłowski i Zbigniew Chosłowski. Wieczorem odbył się w salach Bazaru bankiet, na którym wręczono zwycięzcom ozdobne żetony.

Cła na przywóz psów i broni do Polski.

Władze skarbowe wydały okólnik, który głosi, że przywożone przez podróżnych, przybywających do Polski celem czasowego pobytu, broń i psy myśliwskie, psy pokojowe, rewolwery, oraz przedmioty niezbędne w podróży, a podlegające opłacie celnej, winny być odprawiane warunkowo; w związku z tem może być zarządzony zwrot cła, o ile wywóz z powrotem zagranicę oclonych warunkowo przedmiotów nastąpi w ciągu miesiąca od daty pierwotnej odprawy.

Termin wywozu winien być w kwicie celnym dokładnie przez urzędy celne oznaczony.

Ochrona przyrody.

W ubiegłym tygodniu zakończył się w Paryżu kongres ochrony przyrody, w którym brało udział 11 państw. Z ramienia państwowej komisji ochrony przyrody polskiej akademji umiejętności brali udział w kongresie prof. Jerzy Smoleński i Jan Sztolcman, którzy przedstawiali wyniki prac, dokonanych w Polsce oraz plany na przyszłość. Wielkie zainteresowanie wzbudził projekt założenia parku narodowego w Tatrach. Z pomiędzy licznych uchwał przyjęto między innymi wniosek polski w sprawie międzynarodowego porozumienia dla ochrony żubra.

Wystawa myśliwska w Luwrze.

W Pavillon de Marsan w Luwrze wystawiony jest obecnie zbiór myśliwski, składający się z różnorakiej broni, obrazów i gobelinów, przedstawiających sceny myśliwskie, dalej stare i nowoczesne książki o sporcie myśliwskim. Komitet, urządzający tę wystawę, ma na czele księcia Murat i markizę de Ganay.

Zbiór broni zawiera łuki z 15-go stulecia, arkebuzy z 16 stulecia i kordelasy do różnych pożytecznych i ceremonjalnych celów myśliwskich. Dalej widzimy tam ciekawe trofea myśliwskie. Oprócz flamandzkich gobelinów z 15, 16 i 17 stulecia, w części robionych według rysunków Oudry, jest serja sześciu obrazów Oudry: „Les Chasses Royales de Louis XV“. — Vander Meulen'a obrazy polowania Ludwika XVI i „Une Halte de Chasse“ (1737) Van Loo'a. Najstarszym jest Frans'a Pourbus'a (1569—1622) „La Chasse du Roi Henri IV“.

Sprawa Spółki w Puszczy Białowieskiej.

Interesentów mającej się zawiązać spółki myśliwskiej w puszczy białowieskiej zawiadamia się na tej drodze, iż polowanie tak w puszczy białowieskiej jak i w Spale jest zarezerwowane jako polowanie reprezentacyjne dla Prezydenta Rzeczypospolitej i oddane w Spale pod zarząd p. Łowczego Walewskiego a w Białowieży p. Maurycego hr. Potockiego. Uważać więc należy projekt założenia spółki tym samym jako pogrzebany.

Miejmy nadzieję iż przez przyjęcie tych łowisk pod zarząd państwa, zwierzostan tamtejszy doprowadzony zostanie przynajmniej do tego stanu w jakim się znajdował za czasów carskich.

Polski Związek Myśliwych, Oddział Nowy Tomyśl.

Oddział Nowy Tomyśl urządza w porozumieniu z Centralnym Związkiem w Poznaniu dnia 15 września b. r. konkurs jesienny psów dowodnych (użytkowych). Przyjmuje się do konkursu wszelkie wyżły, które warunkom psów rasowych odpowiadają. Formularze i bliższe objaśnienia p. a. Mańkowski, kupiec, Nowy Tomyśl.

ROZMAITOŚCI.

Roczny bilans polowań w Indyach.

Według urzędowej statystyki, wyniki wielkich polowań w roku 1921 w Indyach są następujące: Zabito 6000 lampartów, 3000 niedźwiedzi, 2000 wilków, 3000 tygrysów, razem 14000 sztuk dzikich zwierząt. Nagrody, wypłacone myśliwym przez rząd, wynoszą wiele tysięcy funtów szterlingów. Oprócz tego, zniszczono 60 tysięcy wężów, za które rząd również wysokie płaci premie. Ale te polowania, stojące pod kontrolą rządu i w których brało udział aż 300.000 strzelb, kosztowały także ofiary w ludziach. Przeszło 19.000 ludzi zginęło od ukąszenia węży. To jest o kilkaset mniej, niż w latach ubiegłych. Ale zato liczba tych, którzy zostali zabici przez dzikie zwierzęta, jest o 10 osób większą, niż w roku poprzednim. Zginęło 3360 osób, z czego 1500 padło pod pazurami tygrysów; 500 osób rozszarpały lamparty i wilki, 70 zginęło w walce z niedźwiedziami i słoniami, a 10-ciu zabiły hjeny.

Przy „Śl. Tow. Łowieckiem i Rybackiem" w Cieszynie utworzyła się komisja celem założenia oddziału „Kinologicznego" w sprawie poparcia hodowli psów legawych, zdolnych do pracy we wszystkich działach łowieckich.

Urządzać się ma corocznie popis wyżłów dowodnych, egzaminów wyżłów młodocianych, wyznaczenie nagród dla wyżłów, które się odznaczyły na popisach, zakupienie szczeniąt lub podział tychże między członków towarzystwa, założenie księgi rodowodowej i t.p.

W sprawie poparcia wyżej wymienionej akcji, zaprasza się hodowców psów, treserów, zwolenników i sympatyków do zgłoszenia się na członków powyższego oddziału u Zarządu (sekretarz Ludwik Badura, Zebrzydowice, pow. Cieszyn, Wojew. Śląskie).

Zarząd stara się o przeprowadzenie urządzenia konkursu wyżłów dowodnych tego roku w jesiennej porze.

„ODDZIAŁ KINOLOGICZNY"
Śląskiego Tow. Łowieckiego i Rybackiego w Cieszynie.

Redaktor Juljan Ejsmond. **Komitet Redakcyjny:** Gen. Bronisław Grąbczewski, Wł. Janta-Połczyński, Włodzimierz Korsak i Dr. Marjan Sobolewski.

Numer pojedyńczy — **2000** mk. Prenumerata miesięczna (z odsyłaniem do domu) — **4500** mk.; kwartalna — **13.500** mk.

Cena ogłoszeń: strona — **600.000** mk.; 1/2 str. — **300.000** mk.; 1/4 str. — **150.000** mk.; 1/8 str. — **75.000** mk.

Redakcja i Administracja, Szpitalna Nr. 12. Druk. Sp. Wyd. Pow., Szpitalna Nr. 1.